

EDDIE FLYNN

Steve Cavanagh

ADWOKAT
DIABŁA

Wygrał
KAŻDY
PROCES.

Bo stoi za
KAŻDYM
MORDERSTWEM.



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DEVIL'S ADVOCATE

Copyright © Steve Cavanagh 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2024

Redakcja: Piotr Królak
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Zdjęcie na okładce: © Marwa Elsayed/Arcangel

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

PROLOG

Zakład Karny Holmana, hrabstwo Escambia, Alabama

Randal Korn czekał na tę chwilę długie cztery lata.

Stał w komorze egzekucyjnej ze skrzyżowanymi na piersi rękami i patrzył na krzesło. Liczyło niemal sto lat. Było z mahoni i miało jaskrawożółty kolor farby do malowania pasów na jezdni, pożyczonej od stanowego Departamentu Dróg, który miał siedzibę kawałek od więzienia Holmana. Nazywano je Yellow Mama.

Usiadło na nim sto czterdzieści dziewięć osób i już z niego nie wstało.

Elektroniczny zegar na ścianie pokazywał godzinę 23.45.

Już prawie pora. Wyszedł z ceglanej komory i znalazł się w korytarzu o betonowych ścianach. Niemalowanych. Drzwi po lewej prowadziły do pomieszczenia z pulpitem sterowniczym – „smażalni”. Nie skręcił tam, ale poszedł do ustronnego miejsca na końcu korytarza, gdzie stały dwie kanapy zwrócone przodem do siebie. Na jednej siedział ksiądz, na drugiej zespół egzekucyjny. Czterej funkcjonariusze służby więziennej wyszkoleni do tego, by przetransportować skazańca z celi śmierci na krzesło i przypiąć go pasami w ciągu niecałych dwóch minut.

Korn kiwnął dłonią grupie katów, a ich dowódca odpowiedział skinieniem głowy. Ksiądz Korn zignorował. Za

kanapami biegł w lewo wąski korytarzyk. Na jego końcu znajdowała się mała zakratowana cela, a w środku siedział na pryczy Darius Robinson i oglądał telewizję. Zjadł już ostatni posiłek: panierowany stek, chleb kukurydziany i pepsi. Ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Głowa i lewa łydka skazańca zostały ogolone. Między Dariusem a Yellow Mamą stał tylko jeden człowiek.

Nazywał się Cody Warren.

Cody rozmawiał przez telefon zamocowany na ścianie przed celą. Korn doskonale wiedział, co tamten robi. Połączył się z urzędem gubernatora i czekał, aż piastujący to stanowisko Chris Patchett przejrzy dokumenty, które mu przesłał, zwracając się z prośbą o odroczenie egzekucji. Jako obrońca z dużym doświadczeniem w sprawach w Alabamie, w których orzekano karę śmierci, był jedyną osobą zdolną przekonać gubernatora do uratowania życia Robinsonowi.

Korn stał zupełnie bez ruchu. Wysoki, szczupły mężczyzna o niepozornej muskulaturze i bez grama tłuszczu. Nie żeby dbał o kondycję. Niewiele jadł i to było widać. Wysokie kości policzkowe były tak ostre, że mógłby nimi pokroić befsztyk. Wiek nie odcisnął na jego twarzy ani jednej zmarszczki. Niektórzy mówili, że przypomina osobliwą porcelanową lalkę. Ciemne włosy z przedziałkiem na boku i starannie osadzone na nosie okulary w drucianych oprawkach nadawały mu wygląd znacznie starszego człowieka, który skradł młodsze ciało i w nim zamieszkał. Brwi ocieniały małe czarne oczy, jakby miały je ukryć. Jego usta były po prostu ciemną kreską przecinającą dół twarzy. Dwa metry wzrostu byłyby ogromnym atutem, gdyby uprawiał jakiś sport, ale spędzał czas pod dachem, w ciemności, na lekturze, nauce i rozmyślaniach. Jak stary pająk snujący nić, której nie widzi nikt prócz niego.

Dwudziestopięcioletni Darius Robinson cztery lata temu został uznany za winnego zabójstwa i skazany na śmierć.

Możliwości apelacji szybko się wyczerpały. Ofiarą był sprzedawca używanych samochodów, zastrzelony podczas napadu rabunkowego. Spust nacisnął niejaki Porter, po czym zabrał mężczyźnie pięć tysięcy dolarów w gotówce. Robinson przywiózł go do komisju i odwiózł po włamaniu. Jak twierdził, nie wiedział, że Porter jest uzbrojony, i po prostu zgodził się podrzucić go do salonu, bo tamten chciał odebrać kupiony samochód. Dwadzieścia cztery godziny później Porter został zastrzelony przez policję. Robinson powiedział ławie przysięgłych, że nie miał broni i w ogóle nie wchodził do komisju; cały czas siedział w samochodzie i nie wiedział nawet, że Porter ma zamiar dokonać napadu, dopóki nie usłyszał strzału. Utrzymywał wręcz, że Porter groził mu, że go zastrzeli, jeśli nie odwiezie go z miejsca zdarzenia.

W hrabstwie Sunville to nie miało znaczenia. Randal Korn, prokurator okręgowy, przekonał przysięgłych, że Robinson brał udział w napaści i wiedział, że Porter jest uzbrojony. Zgodnie z definicją współudziału i pomocnictwa to wystarczyło, by zamknąć go w celi śmierci i potraktować jak sprawcę, który strzelił do ofiary. Wszystkie egzekucje w Alabamie są wykonywane w więzieniu Holmana w hrabstwie Escambia, sąsiadującym z Sunville.

Korn wiedział, że skoro to Porter nacisnął spust, Darius miał całkiem spore szanse na złagodzenie kary.

Cody był starszy od prokuratora i nosił na twarzy ślady wszystkich sześćdziesięciu trzech lat swojego życia. Czoło miał poorane głębokimi bruzdami. Kurze łapki mnożyły się w kącikach oczu, które pozostały jednak jasne i pełne nadziei. Marynarkę i krawat położył na pomalowanej betonowej posadzce. Otarł pot z czoła, przejechał dłonią przez siwe włosy i znowu przyłożył do ucha słuchawkę. Jako dobry prawnik był pewien, że choć nie może wywalczyć Dariusowi wolności, to uda mu się uratować mu życie.

– Są już jakieś wiadomości od gubernatora? – spytał Korn.

Cody odwrócił się, pokręcił głową, po czym spojrzął na zegarek. Za dziesięć minut północ. Za dziesięć minut Darius Robinson miał przejść kilka ostatnich kroków dzielących go od krzesła. Telefon na ścianie był gorącą linią z urzędem gubernatora, ale większości adwokatów kazano czekać. Tak jak Cody’emu. Słuchał głuchoj ciszy i liczył na akt łaski.

– Złagodzi wyrok. Wiem o tym. Jestem niewinny – rozległo się za ich plecami. Korn odwrócił się i zobaczył Dariusa, który trzymał się żelaznych prętów celi śmierci, niemal tańczył, przestępując z nogi na nogę, i w zniecierpliwieniu przygryzał wargi. Jego twarz pokrywały krople potu, mimo że w korytarzu panował chłód. Oczekiwanie na wiadomość, czy będziesz żył, czy umrzesz, potrafi człowieka wykończyć i u Dariusa było widać skrajne napięcie.

Korn wyjął z marynarki telefon, przesunął palec po ekranie, stuknął i przyłożył aparat do ucha.

– Panie gubernatorze – powiedział – jestem tu z Codym Warrenem i bohaterem dnia, panem Robinsonem. Przypuszczam, że pan Warren od dłuższego czasu czeka na połączenie z urzędem.

Gubernator Alabamy był obecnie poddawany procedurze impeachmentu, którą odroczone w związku z jego zwolnieniem lekarskim. W tym momencie wracał do zdrowia w szpitalu w Arkansas. Podczas nieobecności urzędnika jego obowiązki w stanie pełnił zastępca gubernatora, Patchett.

Korn stuknął w ekran jeszcze raz i włączył głośnik, żeby Cody i Darius mogli słyszeć.

– Nadal zastanawiam się nad decyzją. Najpierw chciałem zasięgnąć pana opinii – oznajmił Patchett.

– Oczywiście. Pozwoli pan, że najpierw omówię sytuację z panem Warrenem. Proszę zaczekać.

Warren z trzaskiem odłożył słuchawkę telefonu na ścianie.

W urzędzie kazano mu czekać prawie godzinę, a Korn chętnie dał do zrozumienia, że może się połączyć z gubernatorem natychmiast. Takie małe demonstracje siły sprawiały prokuratorowi chwilową, lecz wielką przyjemność.

– Posłuchaj, Korn. Robinson odegrał w tym napadzie mniejszą rolę, wszystko jedno, jak na to spojrzysz. Nie zasługuje na śmierć, dobrze o tym wiesz. To przecież młody człowiek. Jeszcze może zmienić swoje życie i jestem przekonany, że istnieje dowód, który kiedyś oczyści jego imię. Proszę cię, daj mu szansę – zakończył Warren łamiącym się, piskliwym głosem; przez pięć dni z rządu pracował na najwyższych obrotach, by ocalić Dariusa.

Korn nadal miał beznamiętną minę. Porcelanowa twarz lalki. Nie odpowiedział ani słowem i z lubością przyglądał się wpatrzonym w niego oczom Warrena, który wstrzymując oddech, czekał na odpowiedź, na cień nadziei.

Nikt się nie odzywał. Nikt nie odważył się głośniej oddychać. Korn potrafił stać zupełnie bez ruchu, co potęgowało złudzenie, że jest kawałkiem materii nieożywionej. Panowała uroczysta cisza. Pełna grozy i oczekiwania. A on rozkoszował się tą złowieszczą martwością jak kąpielą w stojącej wodzie.

Nagle cisza została zakłócona. Dariusz zaczerpnął tchu. Głęboko nabrał powietrza do płuc. Przypominało to próżnię powstałą przy zapadaniu grawitacyjnym gwiazdy, której pęknięte jądro wciąga wszystko tuż przed wielką eksplozją.

– Zaraz po napadzie Porter wycelował we mnie broń! Gdybym go nie odwiózł, zabiłby mnie. Nie wiedziałem, że chce kogoś zastrzelić i okraść. Przysięgam, że nie wiedziałem! – krzyknął Dariusz. Każde słowo pulsowało strachem i rozpaczą.

– Wierzę ci – odparł Korn.

– Słucham? – zdumiał się Warren.

– Wierzę mu. A zastępca gubernatora zrobi wszystko, co

mu powiem. Zaraz z nim porozmawiam. Daj mi chwilę i niedługo będzie po wszystkim – obiecał Korn.

Po policzkach Dariusa Robinsona popłynęły łzy.

Cody Warren zgarbił ramiona, jakby właśnie zdjęto mu z nich ćwierćtonowy ciężar. Spojrzał w sufit, wyszeptał do niebios „dziękuję” i zamknął oczy. Uratował życie młodemu człowiekowi. Nie było nic cudowniejszego od tego uczucia ulgi.

Podszedł do celi śmierci, wsunął przez kraty przedramiona i ujął w dłonie twarz klienta.

– Będzie dobrze – powiedział.

Korn wcisnął kciukiem przycisk na ekranie telefonu.

– Panie gubernatorze, jest pan tam?

– Owszem. Kończymy się czas, Randal. Co mam zrobić? Na podstawie wniosku pana Warrena skłaniam się do złagodzenia wyroku, ale nie będę podważać opinii swojego prokuratora okręgowego, zwłaszcza zdecydowanej. Jaki jest pana pogląd?

Korn cofnął się o krok, by podziwiać rozgrywającą się przed nim scenę. Warren i Robinson obejmowali się przez pręty krat. Już obaj płakali.

– Rozmawiałem z panem Warrenem. Jest bardzo przekonujący. Przedstawił mocny argument za złagodzeniem wyroku Robinsona. Rozumiem, że pan też przychyła się do takiego stanowiska. Niełatwo jest odebrać komuś życie w imię sprawiedliwości – powiedział Korn.

Warren i Robinson uśmiechali się przez łzy. Nie czuli już bezdenne go strachu, który dręczył ich od tyłu tygodni, i zalała ich fala niewypowiedzianej ulgi.

– Ale właśnie dlatego w tym przypadku musimy wykonać wyrok – dodał Korn.

Warren pierwszy zwrócił uwagę na to, co właśnie padło z jego ust. Gwałtownym ruchem obrócił w bok głowę i utkwiał

wzrok w prokuratorze okręgowym.

– Ława przysięgłych uznała pana Robinsona za winnego zabójstwa i skazała na śmierć. Jeżeli pozwolimy mu żyć, poniżymy przysięgłych i poniżymy ofiarę pana Robinsona. Nie, moim zdaniem Darius Robinson musi dziś umrzeć.

Warren ruszył w stronę Korna, ale rozdzieliło ich dwóch strażników, którzy złapali adwokata i odciągnęli go do tyłu.

– Tak jak powiedziałem, Randal. Nie będę sprzeciwiał się twojej woli. Egzekucja odbędzie się zgodnie z planem. Odwołanie zostaje odrzucone – oświadczył Patchett.

Funkcjonariusze służby więziennej przez kilka tygodni przed tym dniem ćwiczyli wszystkie czynności po kolei: sprawdzali, czy pasy są mocno zapięte, elektrody dobrze zamocowane, czy gąbka na głowie jest odpowiednio nasączona roztworem soli. Skończyli całą pracę w ciągu niecałych dwóch minut, po czym wycofali się z komory egzekucyjnej, pozostawiając Darius Robinsona z zasłoniętymi oczami, przypiętego do Yellow Mamy.

Pomieszczenie było dość małe. Krzesło stało pośrodku komory o ścianach z cegły, zwrócone w stronę okna obserwacyjnego. Przełączniki prądu znajdowały się w oddzielnym pokoiku. Korn zamierzał oglądać egzekucję przez szybę w drzwiach pomieszczenia z panelem sterowniczym.

W niebieskim kombinezonie więziennym Robinsona dokonano drobnych przeróbek. Lewa nogawka została odcięta tuż nad kolanem. Elektrode przymocowano do łydki posmarowanej żelem przewodzącym. Obie nogi przypięto do krzesła grubymi skórzanymi pasami zaopatrzonymi w srebrne sprzączki, które błyszcząły na kostkach. Pasy otaczały również brzuch skazanego, jego klatkę piersiową, ręce i czoło. Pod elektrodą na głowie, czyli tak zwanym hełmem, przez

który do ciała przepływa większa porcja prądu, umieszczono gąbkę nasączoną dziewięćdziesięcioma mililitrami roztworu soli. Gdyby płynu było za dużo, doszłoby do zwarcia. Gdyby było go za mało, głowa Dariusa mogłaby się zająć ogniem.

Na uniformie więźnia ciemniały plamy wilgoci. Pod pachami i na piersi. Robinson się pocił. Mimo że był mocno przypięty pasami, drżał jak pistolet w rękach dziecka.

Naciśnięcie dźwigni w pomieszczeniu sterowniczym odsunęło zasłonę w komorze egzekucyjnej: ukazała się przeszklona ściana, a za nią ludzie. Sześciu świadków. Żaden z nich nie był krewnym sprzedawcy używanych samochodów, którego zamordował Porter. Nie, publiczność składała się z biegłych oraz dziennikarzy. Cody Warren nie był obecny. Został wyprowadzony z budynku. Korn widział świadków, ale oni nie widzieli jego. Szyba w jego okienku obserwacyjnym była lustrem półprzepuszczalnym.

Skazańcowi pozwolono wypowiedzieć ostatnie słowa.

– Jestem niewinny i wszyscy o tym wiedzą.

Korn wiedział. I nic go to nie obchodziło. Nie został prokuratorem w stanie, gdzie wykonywano karę śmierci, by zawracać sobie głowę kwestiami winy i niewinności. Podobał mu się system. Sprawiedliwość była tylko przykrywką dla jego prawdziwej natury.

Zapadła zupełna cisza. Po chwili Korn usłyszał odgłos włączanego urządzenia.

Usłyszał coś jeszcze: cichy szum, który nagle przybrał na sile, gdy lewe ramię Robinsona drgnęło i uderzyło o ramę krzesła.

Yellow Mama zaczęła pierwszy cykl.

Przez ciało Robinsona przepływało teraz niemal dwa i pół tysiąca woltów. Korn szeroko otworzył oczy, rozchylił usta. Poczul jakiś metaliczny smak. Powietrze było gęste od elektryczności.

Przez pierwsze dwie sekundy wydawało się, że niewidzialna siła przygwoździła ramię Robinsona do oparcia krzesła. Kolejne dwie sekundy dygotał, jakby wbito mu w brzuch młot pneumatyczny. Pierwszy wstrząs miał go pozbawić przytomności, zatrzymać akcję serca.

Nie doszło ani do jednego, ani drugiego. Ludzka czaszka to słaby przewodnik.

Pięć sekund później zasilanie zostało odłączone. Po ponownym włączeniu napięcie było znacznie niższe – tylko siedemset voltów. Ten cykl miał trwać trzydzieści sekund, po których urządzenie automatycznie się wyłączało. Gdyby Robinson jeszcze żył, cała sekwencja zostałaby powtórzona.

Korn stał przy okienku i obserwował przebieg całej procedury ze wzrokiem utkwionym w Robinsonie.

Ani na moment nie oderwał oczu od człowieka na krześle.

Nawet gdy skóra skazańca zaczęła dymić. Nawet gdy pod wpływem prądu pękła mu lewa kość goleniowa. Nawet gdy z ust trysnęła krwawa piana.

Przez cały czas miał wrażenie, że to przez jego żyły płynie prąd. Pulsujący żywioł. Jako prokurator okręgowy dzierżył w swoich długich, zakrzywionych jak szpony dłoniach władzę nad życiem i śmiercią. Uwielbiał ją. Zabił tego człowieka, jakby wpakował mu kulkę w głowę, i ta myśl go upajała. Zastrzelenie czy zakłucie ofiary nożem nie było dla niego tym samym. Wydawało się zbyt zwierzęce. Korn zabijał, korzystając z prerogatyw swojego urzędu, używając intelektu i umiejętności. Nie wyobrażał sobie, by coś mogło mu dać większą przyjemność. Cały czas modlił się, by Robinson jeszcze nie umierał.

Żeby cierpienie trwało trochę dłużej.

Kiedy egzekucja dobiegła końca, nad krzesłem unosił się obłok dymu, a Kornowi z emocji brakowało tchu.

Dariusz Robinson potrzebował dziewięciu minut, by

umrzeć.

I w ciągu tych potwornych dziewięciu minut Randal Korn czuł, że naprawdę żyje.

PIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Skylar Edwards

Skylar Edwards schroniła się w kącie kuchni baru Hogg's, by kciukami wstukać wiadomość na telefonie. Stukot, jaki słyszała przy dotknięciu każdego ekranowego klawisza, był tylko efektem dźwiękowym imitującym odgłosy staroświeckiej klawiatury, ale nawet on potrafił oddać wściekłość, którą przepojone były jej słowa. Skończyła, wcisnęła WYŚLIJ i wpcnęła telefon do kieszeni dżinsów, zanim właściciel baru ruszył na jej poszukiwania.

Dochodziła północ, kuchnię zamknięto już parę godzin temu, a jej szef, który swoją funkcję traktował dość swobodnie, krótko potem opuścił lokal, wcześniej przetarłszy brudną ścierką grill. Nie było powodu tu wchodzić, po prostu chciała w spokoju poświęcić pięć minut na napisanie wiadomości. Wiedziała, że na odpowiedź nie będzie czekała zbyt długo. Jej chłopak, Gary Stroud, nigdy się nie rozpisywał. Używał emotek albo GIF-ów, które miały zamaskować jego problemy z ortografią. Skylar nie miała jednak czasu na patrzenie w ekran. Pchnęła podwójne drzwi, wyszła na korytarz, minęła toalety i przez następne drzwi wróciła do baru.

Została tu tylko trójka klientów. Miejscowi z Buckstown. Z głośnika w rogu sali ciągle wybrzmiewał soft rock, ale klienci nie zwracali uwagi na muzykę. Patrzyli w telewizor.

– Ryan, możesz zrobić głośniejsze? – zapytał rosły mężczyzna z końca baru. Przesiedział tam prawie cały wieczór; zjadł kolację, a potem pracował i pił gazowaną wodę na przemian z napojem imbirowym. Widywała go tu wcześniej. Zwykle przychodził, gdy było spokojniej, ślęczał nad jakimiś papierami i oglądał mecz. Nie nazwałaby go przystojnym, ale był niezłe zbudowany i zawsze zostawiał spory napiwek.

– Jasne, Tom – rzucił Ryan, stawiając przed innymi klientami dwa duże piwa.

Tom. Tak miał na imię. Wiedziała, że pracuje w prokuraturze okręgowej. Widziała go w telewizji, jakieś pięć miesięcy temu wypowiadał się nawet o jednej ze swoich spraw. O człowieku straconym w hrabstwie Escambia. Tom pomógł doprowadzić do jego skazania. Niewiele o tym mówił, ale w ogóle rzadko się odzywał. Ryan Hogg, właściciel lokalu, był dla niego zawsze wyjątkowo uprzejmy.

Zerknęła na ekran, gdy Ryan ściszył muzykę i podkręcił dźwięk telewizora zamocowanego na ścianie nad barem. W wiadomościach pojawił się nowy gubernator, Patchett, który znowu mówił o fabryce.

– „Zrobię wszystko, żeby ocalić miejsca pracy w Solant Chemicals...”

– Zamykają ją? – spytał Ryan.

– Od lat odgrają się, że to zrobią – odparł Tom. – Tym razem sprawa wygląda poważnie, skoro zaangażował się gubernator.

Skylar zaczęła zbierać szklanki ze stolików, popatrując na telewizor. W zakładach pracował jej ojciec, Francis. Jeździł ciężarówkami od dwudziestu lat i zarabiał tyle, że pomógł córce sfinansować studia. Skylar była inteligentna, nie udało jej się jednak zdobyć stypendium i ojciec płacił jej chesne. Gdyby stracił pracę, musiałaby rzucić college. Jeszcze jeden powód do zmartwień.

Poczuła wibrowanie w kieszeni. Odwróciła się od Ryana i wyciągnęła telefon. Ryan Hogg nie był złym szefem. Płacił trochę więcej niż inni, nie podbierał jej napiwków. Chociaż nigdy nie powiedział nic niestosownego i oczywiście nigdy jej nie dotknął, czasem zauważała, jak na nią patrzy. Z pewnością nie sprawdzał wtedy, czy jego pracownica nie traci czasu na pisanie do chłopaka. To było tylko spojrzenie, ale przyprawiło ją o mdłości.

Otworzyła wiadomość. Emotka z serduszkami i *proszę, upadnij niedługo*. Jego siostra, Tori, robiła tego wieczoru imprezę i Gary błagał Skylar, by zadzwoniła do baru, że jest chora. Kiedy mu powiedziała, że musi iść do pracy, kręcił nosem. Męczył ją, żeby urwała się wcześniej i przyszła. Nie chciała mu robić nadziei. Była zmęczona i nie miała szczególnej ochoty na imprezowanie. Gary mówił o tym wydarzeniu od wielu dni, więc wysłała do Tori pytanie, czy kiedy skończy pracę, impreza będzie jeszcze trwała.

– Rozmowa na dwa kciuki? – spytał Andy.

Znała jego głos i odwróciła się, żeby się do niego uśmiechnąć. Trzymał w rękach kilka brudnych szklanek po piwie. Podczas gdy ona skupiała się na czymś innym, posprzątał resztę stolików.

– Co to znaczy „rozmowa na dwa kciuki”?

– Kiedy się kłócisz z Garym, piszesz do niego dwoma kciukami – wyjaśnił. – Czasami tak walisz w ekran, jakbyś chciała go rozbić.

Jej twarz rozjaśnił serdeczny uśmiech. Dzięki Andy’emu Dubois znacznie łatwiej było jej znosić pracę w barze Hogg’s. Odrobinę młodszy od niej, we wrześniu zaczynał studia. Bystry chłopak o dobrym sercu. Bystrzejszy od Skylar, bo zdobył pełne stypendium. Nie zazdrościła mu tego, ponieważ jedynie dzięki temu mógł iść do college’u. Miał tylko mamę, a w Buckstown mieszkali przedstawiciele białej klasy średniej,

tacy jak rodzice Skylar, którzy dawali sobie radę i zarabiali tyle, że mogli trochę odłożyć, natomiast drugą stronę miasta zajmowały biedne rodziny czarnoskórych i imigrantów, którym żyło się trudniej niż reszcie. Po studiach Skylar zamierzała się stąd wyrwać. Wiedziała, że Andy też ma takie plany i chce zabrać ze sobą mamę.

Odwrócił się od niej uśmiechnięty, by zanieść brudne szklanki do baru. Zobaczyła wystającą z tylnej kieszeni jego dzinsów powieść w miękkiej oprawie. Każdą wolną chwilę w pracy wykorzystywał na lekturę. Nie miał komórki. Skylar przypuszczała, że gdyby czytała tyle co Andy, zamiast gapić się w ekranik, może jednak dostałaby to stypendium. Przypomniała sobie właśnie, że w przyszłym miesiącu chce sobie sprawić nowszy model. Stary telefon postanowiła oddać Andy'emu, zostawiając jakieś środki na koncie.

Zebrała resztę szklanek, a Ryan dyskretnie zasugerował dwóm siedzącym przed nim klientom, że powinien już zamykać.

To byli mocno zbudowani mężczyźni. Jeden wysoki, drugi średniego wzrostu, ale obaj mieli ręce i nogi napęczniałe od mięśni.

Gliniarze, zastępcy szeryfa. Obaj po cywilnemu, po służbie.

Wysoki nazywał się Leonard. Był rudy, wąsaty i opryskliwy. Zwłaszcza wobec Andy'ego. Drugi, Shipley, miał małe, ciemne oczy, odbijające światło pod przedziwnymi kątami – jakby w głębi jego czaszki palił się ogień, który można było dostrzec od czasu do czasu. Nie był tak nerwowy jak Leonard, Skylar podejrzewała jednak, że jest bardziej niebezpieczny.

Byli stałymi klientami lokalu i zawsze zajmowali stolki przy barze, żeby nie dawać kelnerce napiwków. Gdy Ryan dostawał coś ekstra, nigdy nie dzielił się z nikim napiwkami. To, co zostawiano na stolikach, było dla Skylar i Andy'ego,

dodatkowe zielone banknoty na barze należały do niego.

– Sky, twój stary ciągle pracuje w fabryce? – zapytał Leonard.

Nikt inny prócz niego nie nazywał jej „Sky”, ale jak zwykle uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Pewnie.

– Ciężkie czasy przysły dla wielu ludzi – stwierdził Shipley, po czym obaj wrócili do swojej rozmowy.

Skylar napełniła zmywarkę, Tom zebrał papiery, uregulował rachunek i opuścił lokal. Kiedy Ryan zaczął gasić światła, Shipley i Leonard pojęli aluzję i też wyszli. Pracownicy posprząтали, a potem Ryan pozwolił Skylar i Andy’emu iść do domu.

Opuścili bar razem, wychodząc w ciepłą noc mniej więcej piętnaście minut po północy. Skylar pomachała na pożegnanie Andy’emu, a ten ruszył pieszo w długą drogę do domu. Zawibrował jej telefon – dostała wiadomość.

Odpowiedź od Tori brzmiała: *Jaka impreza?*

Skylar przejechała palcami przez włosy i zakłęta. Zrobiła rzut ekranu z wiadomością od Tori i zamierzała go wysłać Gary’emu z wyrzutem *WTF? Kłamałeś o imprezie?*, gdy nagle telefon zadzwonił. To była Tori. Skylar odebrała.

– Boże, przepraszam cię. Przyjdź, jasne. Ale dałam cię – powiedziała Tori na tle głośniejszej muzyki rockowej.

– O co chodzi, do cholery? Gary od paru tygodni wierci mi dziurę w brzuchu, żebym przyszła do ciebie na wielką imprezę.

– Aha, no to wpadnij – odparła z wahaniem.

Skylar przyjaźniła się z Tori od dawna, zanim jeszcze poznała Gary’ego. Dobrze ją znała i umiała się zorientować, gdy tamta coś przed nią ukrywała.

– Co jest grane? Mów, bo inaczej zadzwonię do Gary’ego i...

– Jestem w barze Buddy’s – przerwała jej Tori. – Gary jest u mnie w domu. Sam. Musisz tam iść...

– Gadaj, o co chodzi, bo inaczej...

– Kupił pierścionek.

Skylar zasłoniła dłonią usta, wstrzymując oddech, i palcami mocno zacisnęła wargi, jakby nie miała odwagi wypuścić z płuc ani odrobiny powietrza. Trwała tak przez chwilę.

– Przepraszam cię, strasznie dałam cię. Idź do niego, proszę. Czeka, żeby ci zrobić niespodziankę. No więc zachowuj się, jakbyś była kompletnie zaskoczona, i nie mów, że ci powiedziałam.

– Nie wierzę, że to zrobił...

– Planował to od tygodni. Dzisiaj mija dokładnie pięć lat, odkąd się poznaliście. U mnie. Chciał, żeby to był wyjątkowy dzień.

W głosie Tori zabrzmiał serdeczny ton; Skylar poczuła, jak w jej oczach wzbierają łzy, a w brzuchu dochodzi do erupcji radości, która przesuwana się wyżej i dławi ją w gardle. Obchodzili z Garym rocznicę – w dniu pierwszej randki. Nie pamiętała, kiedy dokładnie się poznali, ale to niezwykle urocze, że on zachował to w pamięci i zadał sobie tyle trudu.

– Będziemy siostrami – powiedziała. – Takimi prawdziwymi.

– To znaczy, że powiesz „tak”! – wykrzyknęła Tori.

– Jasne, że powiem „tak”.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, potem Skylar się rozłączyła. Zamierzała spotkać się z Garym i trudno jej było opowiadać emocje.

Bar Hogg’s mieścił się przy Union Highway, pięć kilometrów za Buckstown, obok stacji benzynowej.

Skylar stała przy drodze i zastanawiała się, co robić.

Mogłaby iść do miasta pieszo. Nieraz już tak robiła. Wieczór był jednak bardzo ciepły, a ona spędziła na nogach

dziesięć godzin bez przerwy. Na drodze zawsze był spory ruch, który przed wjazdem do Buckstown zwalniał do pięćdziesięciu na godzinę. Bez trudu mogła złapać okazję.

To również nieraz robiła. W mieście była jedna firma tak-sówkowa. Przewoźnicy na aplikację nie dotarli jeszcze do tak odległych zakątków Alabamy. Ludzie siadali tu za kierownicę nawet po pijanemu.

Skylar stała przy drodze i czekała na trzeźwego, życzliwego kierowcę.

Zaczęła pisać wiadomość do ojca, żeby na nią nie czekał, gdy kątem oka zobaczyła zwalnającą ciężarówkę – ciągnik siodłowy z naczepą. Samochód błysnął światłami i zatrzymał się obok niej; otworzyły się drzwi po stronie pasażera. Skylar chwyciła klamkę i wspięła się po stopniach, by zajrzeć do ciemnej kabiny.

Kierowca miał czapkę, więc trudno było zobaczyć jego twarz. Jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą na udzie.

– Podwieźć, panienko? – zapytał.

W tym człowieku było coś dziwnego. Dziwny wydawał się też zapach w kabinie. Jej ojciec jeździł ciężarówkami, więc przyzwyczaiła się do woni potu, tytoniu do żucia i kawy. To jednak nie było to. Czuć było czymś innym. Czymś obrzydliwym.

Ojciec nie znosił, gdy jeździła autostopem. Bardzo się o nią martwił. Twierdził, że jest zbyt ufna. I że musi się nauczyć być bardziej stanowcza, bo inaczej ludzie wejdą jej na głowę albo i gorzej. Oczywiście Skylar bagatelizowała tę gadaninę, ale w tym momencie pomyślała, że być może ojciec ma rację. Wyobraziła sobie, że wsiada do ciężarówki, a po kilku minutach, gdy dojeżdżają do miasta, w jej stronę wyciąga się z boku ręka. I samochód nie zatrzyma się w mieście, ona nigdy nie zobaczy Gary'ego, nie zaręczy się, a jej twarz trafi na karton z mlekiem. Chociaż nie była pewna, czy umieszcza się

tam ogłoszenia o zaginionych osobach w jej wieku. Może już się tego w ogóle nie robi, a może ta przestrzeń jest przeznaczona tylko na informacje o poszukiwanych dzieciach.

Po chwili do głosu doszła jej skłonność do analizowania. Prawdopodobieństwo, że podczas krótkiej podróży z nieznanym stanie się jej coś złego, było małe. Bardzo małe. Jak jeden do miliona. Powinna przestać się bać i po prostu wsiąść do tej cholernej ciężarówki.

Kierowca wyciągnął rękę, żeby pomóc jej dostać się do środka.

Skórę miał zarośniętą brudem i Skylar dostrzegła pot na jego dłoni, która lekko drżała, być może z emocji, że ma w kabinie młodą kobietę. W dodatku ładną.

Jej wewnętrzny głos krzyknął: NIE!

– Wie pan co, nie trzeba, właśnie dostałam wiadomość od swojego chłopaka, zaraz po mnie przyjedzie – powiedziała, zeskakując na asfalt na poboczu drogi.

Kierowca zaklął, ale nie zdążyła tego usłyszeć, bo zatrzasnęła drzwi kabiny. Dodał gazu i odjechał, a tymczasem Skylar uspokoiła oddech.

I po chwili usłyszała inny pojazd, zatrzymujący się dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stała ciężarówka. Zajrzała do środka, zobaczyła kierowcę.

W porządku. To nie był obcy. Chociaż zupełnie nie spodziewała się zobaczyć tu tej twarzy, nie bała się wsiąść do tego samochodu. Znała kierowcę. Zaledwie dwadzieścia minut temu słyszała jego głos w barze Hogg's, gdy zbierała ze stolików brudne szklanki.

Oczywiście zaproponował jej podwiezienie.

Skylar wsiadła z przodu. Poprosiła, żeby podrzucić ją tylko do miasta, i zaczęła pisać do ojca.

Nie czekaj na mnie. Do miasta podwozi mnie

Nie dokończyła zdania.

Kiedy kierowca wymierzył jej cios pięścią w twarz, telefon wpadł w szczelinę między jej fotelem a środkową konsolą. I tam już został.

Skylar nie zdążyła krzyknąć ani pomyśleć, ani czegokolwiek poczuć.

Nigdy nie dotarła do domu Tori. Już nigdy więcej nie pocałowała Gary'ego, nie usłyszała jego oświadczeń, nie oddała mu ręki ani serca.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Eddie

Nie szukam kłopotów. Nie muszę.

Same mnie odnajdują.

Gdyby tylko towarzyszyły im pieniądze, nie byłoby tak źle. Niektórzy zostają prawnikami z nadzieją, że dużo zarobią. Nie chcę być źle zrozumiany, pieniądze są miłe. Jak każdy lubię czuć w kieszeni grubą rolkę banknotów, ale lubię też spokojnie spać w nocy. Im pełniejszy portfel i im więcej szumowin wypuszczasz z powrotem na ulicę, tym trudniej zasnąć. Majątek obrońcy w sprawach karnych można mierzyć saldem jego konta bankowego i ciężarem, jaki dźwiga na duszy. Aż do tego cudownego dnia, kiedy po prostu stwierdza, że ma to wszystko gdzieś. Wtedy zostają tylko pieniądze, a sumienie nie przeszkadza już się nimi cieszyć.

Moja droga nigdy tak nie wyglądała. Obrona klienta, który był winien zarzucanego przestępstwa, kłóciła się z zasadami. Moimi zasadami. Może jestem przez to najgorszym adwokatem na świecie, a może najlepszym – zależy, z której strony się temu przyjrzeć. Od czasu do czasu dochodziłem do wniosku, że gdyby naprawdę było u mnie krucho z pieniędzmi, zawsze mogę skoczyć na weekend do kasyn w Las Vegas i to powinno wystarczyć, by zażegnać kryzys. Kiedy na pewien czas wysycha źródło adwokackie, bardzo przydaje się moje

poprzednie życie kanciarza. Na razie radziłem sobie całkiem nieźle. Moja nowa współpracownica, Kate Brooks, okazała się szczerym złotem. I mistrzynią dokopywania wielkim kancelariom prawnym i przedsiębiorstwom w pozwach zbiorowych dotyczących molestowania seksualnego. W tym nie miała sobie równych. Razem z Kate w firmie zjawiała się Bloch, prywatna detektyw, chyba najbardziej pomysłowa ze znanych mi osób wykonujących tę pracę. Z Kate przyjaźniły się od dzieciństwa, co na pewno pomogło rozwiązać Bloch język. Zwykle niewiele mówiła. Najczęściej do Kate. Co nie znaczy, że była nieżyczliwa – po prostu odzywała się, gdy miała coś do powiedzenia, i opłacało się jej słuchać.

Moja kariera obrońcy w sprawach karnych kwitła. Harry Ford, nowojorski sędzia w stanie spoczynku, a dziś mój konsultant, spotykał się z klientami w kancelarii, podczas gdy ja zdzierałem buty w salach rozpraw przy Center Street i na Brooklynie. Harry wolał zostawać na miejscu ze swoim psem Clarence'em, który stał się już psem biurowym.

W nowej firmie brakowało nam tylko dobrej sekretarki, która odbierałaby telefony, pisała na komputerze i wprowadziła trochę ładu w nasz rozmamłany dzień pracy. O jakości prawnika decyduje jego wsparcie administracyjne – które zwykle jest dwa razy bystrzejsze od niego.

Kate zamieściła w internecie ofertę pracy dla sekretarki kancelarii prawnej i przyjmowała zgłoszenia. Dziś rano ktoś miał przyjść na rozmowę i Kate chciała, żebym w niej uczestniczył. Byliśmy współnikami, wszystko dzieliliśmy pół na pół, w tym również decyzje, te dobre i te złe. Dochodziła dziewiąta piętnaście. Nasze biuro znajdowało się w Tribeca, tuż nad salonem tatuażu. Kate chciała mieć kancelarię w lśniącym wieżowcu niedaleko Wall Street – w szkłe, sośnie i skórze. Nie umiałbym pracować w takim otoczeniu, więc ulitowała się nade mną i zgodziła się, żebyśmy wynajęli zapluta norę

nad salonem Stinkin' Ink.

Kate i Bloch przekładały naręcza papierów przy kserokopiarce, Harry siedział z Clarence'em na kanapie w niewielkiej recepcji. Kupił psu luksusową obrozę z lokalizatorem GPS. Od dziesięciu minut bez powodzenia usiłował aktywować urządzenie. Akurat próbowałem zmusić ekspres do wyprodukowania płynu, który nie zniszczy mi trzech warstw skóry na podniebieniu, gdy na dole rozległ się dzwonek.

– Eddie, możesz otworzyć? – spytała Kate. – To pewnie Denise.

– Kto?

– Denise Brown, kandydatka na sekretarkę. Nie czytałaś jej CV?

– Dawałaś mi jakieś CV?

– W zeszłym tygodniu. Przypuszczam, że jeszcze leży na twoim biurku.

Nie pamiętałem, że bym je czytał. Co nie znaczy, że go nie dostałem. Sprawy administracyjne to moja pięta achillesowa.

Wcisnąłem guzik, by otworzyć drzwi wejściowe, i czekałem u szczytu schodów.

Na dźwięk ciężkich kroków pomyślałem, że Denise chyba nosi glany. Przechyliłem się przez balustradę. Po schodach wspinał się ktoś, kogo bynajmniej nie miałem ochoty spotkać.

Miał filcowy kapelusz i znoszony szary płaszcz przeciwdeszczowy, który musiał dostać w prezencie od nieżyjącej już małżonki, bo tylko dlatego ktoś chciałby coś takiego nosić. Pod płaszczem krył się szyty na miarę garnitur, w którym tkwiły osiemdziesiąt dwa kilogramy poważnych kłopotów.

– Jeżeli nie przyszedłeś w sprawie posady sekretarki, obawiam się, że będziesz musiał wyjść – oznajmiłem.

Wszedł na ostatni stopień, uchylił kapelusza i posłał mi uśmiech, który kojarzył mi się z krokodylem szykującym się do odgryzienia mi sporego kawałka pośladka.

– Nie mam już takich umiejętności sekretarskich jak kiedyś – odparł.

– Umiesz pisać na komputerze i parzyć kawę? Jeżeli tak, to masz tę pracę. Kiepska pensja, a robota do kitu.

– Rzeczywiście przychodzę w sprawie pracy, Eddie. Ale to nie ma nic wspólnego z obsługą klawiatury. Mogę wejść?

Nazywał się Alexander Berlin. Kiedy widziałem go ostatni raz, pracował w Departamencie Stanu. Podobno od tego czasu zmieniał miejsca zatrudnienia – CIA, NSA, Departament Sprawiedliwości. Był magikiem do zadań specjalnych i tajnych operacji, naginającym prawo, by wykonać zadanie dla tej agencji federalnej, która akurat mu płaciła. Wiedział, w których szafach są ukryte wszystkie rządowe szkielety. I jeśli miał dla mnie jakąś ofertę, nie interesowała mnie.

– Nie potrzebuję od ciebie żadnej pracy. Wszystko jedno, co to ma być, odpowiedź brzmi: nie.

– Jeszcze nie usłyszałeś, o co chodzi. Wpuść mnie na dziesięć minut i filiżankę kawy. Nie zgodzisz się? Trudno, zaraz potem wyjdę. Nie będę miał pretensji, nie obrażę się.

– Chyba trochę przedwcześnie deklarujesz, że nie będziesz miał pretensji, jeszcze nie spróbowałaś mojej kawy. I nie spodoba ci się moja odpowiedź, Berlin. Nie jestem zainteresowany.

Niedawno przestało padać. Jego stary płaszcz był przemoczony do nitki i woda kapiała z niego na wykładzinę na schodach. Nie mieliśmy jeszcze czasu jej wyczyścić, więc od spadających kropli wolno powstawały jasne miejsca wśród plam.

– Wysłuchaj mnie, Eddie. Proszę – dodał Berlin.

– Podaj mi jeden powód, dlaczego miałbym cię słuchać.

Berlin zdjął kapelusz, spojrzał na mnie nieruchomymi, wilgotnymi oczami i powiedział:

– Jeżeli tego nie zrobisz, zostanie zamordowany dziewiętnastoletni dzieciak.

- Zamordowany? Przez kogo?
- Formalnie rzecz biorąc, przeze mnie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).